

Dodatek specjalny

ŚMIERĆ STANISŁAWA PYJASA

SIECI



# DEMITOLOGIZACJA, CZYLI MISTYFIKACJA

**Bronisław Wildstein**

o książce Cezarego Łazarewicza

*Przez media przetoczyła się kampania promocyjna książki*

*Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”.*

*Służy ona również promocji tezy jej autora, że śmierć tytułowego*

*bohatera była efektem nieszczęśliwego wypadku*





Stanisław Pyjas i Bronisław Wildstein

**P**róba obrony tej PRL-owskiej interpretacji była podejmowana w III RP wielokrotnie. Nigdy jednak nie miała za sobą tak rozbudowanych uzasadnień, których wydaje się dostarczać książka Łazarewicza. Nigdy także nie miała tak zmasowanego poparcia środowisk opiniotwórczych III RP. Jak często w tym systemie w tego typu kampaniach siłą argumentów zastępuje argument siły, czyli powtarzanie i potwierdzanie tego samego, co tworzy pozór nieodpartych dowodów, które w rzeczywistości są arbitralnymi deklaracjami.

Książka Łazarewicza to sporo ponad 400 stron, dużo wypowiedzi i relacji, które sprawiają wrażenie solidnej dokumentacji. Trzeba dokładnego czytania i znajomości tamtych czasów, by odsłonić brak uzasadnienia mocno sformułowanych tez. I temu – siłą rzeczy bardzo skrótkowo – ma służyć niniejszy tekst.

W swoich publicznych wypowiedziach Łazarewicz posuwa się znacznie dalej niż w książce. Np. w rozmowie w „Kulturze Liberalnej” deklaruje: „Wiemy na pewno, że Pyjas nie został

**BRONISŁAW WILDSTEIN**

pobity, a przyczyną śmierci był upadek z wysokości. Te rzeczy są bezdyskusyjne”. Ma to stwierdzać m.in. prokuratora IPN.

Wszystko to jest nieprawdą.

### TROCHĘ HISTORII

Stanisław Pyjas został znaleziony martwy w Krakowie w bramie na ul. Szewskiej 7, 7 maja 1977 r. Miał 23 lata, był studentem piątego (ostatniego) roku polonistyki i drugiego roku filozofii, a także jednym z liderów studenckiej opozycji w Krakowie. Było to środowisko oszczone, inwigilowane i zastraszane przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa. Nie długo przed śmiercią Pyjasa jego bliscy znajomi i on sam

otrzymali anonimy szkalujące go i nawołujące do rozprawy z nim jako agentem SB. Uznali, że zgodnie z ówczesną strategią potraktują poważnie PRL-owskie pozory państwa prawa i przekażą prokuraturze anonimy, w których znajdowały się karalne groźby. W III RP okazało się to, co było dla nas oczywiste od początku – że anonimy te pisali esbecy.

Bezpośrednio po śmierci Pyjasa w krakowskich gazetach na (nieoficjalne, oczywiście) żądanie SB ukazała się notatka, że Stanisław P., w którego krwi znajdowało się 2,6 promila alkoholu, spadł ze schodów i zmarł na miejscu. Było to zaskakujące, gdyż nie została wykonana żadna oficjalna ekspertyza ani nie zostało zakończone śledztwo. Można nawet powiedzieć, że nie zostało ono rozpoczęte.

W dniu śmierci Pyjasa z moją narzeczoną i nieżyjącym już przyjacielem Jackiem Nowackiem udaliśmy się do prosektorium, gdzie podałem się za brata Pyjasa i dałem łapówkę pracownikowi. Nie wiedział on jeszcze o kontekście sprawy i pozwolił nam obejrzeć

zwłoki przyjaciela. Jego twarz nosiła ślady ciężkiego pobicia.

Pogrzeb Pyjasa w jego rodzinnych Gilowicach był manifestacją siły SB, której funkcjonariusze w dużej liczbie usiłowali straszyć uczestników, szydzili z nich, filmowali i fotografowali.

Grupa zaangażowanych w opozycję przyjaciół Pyjasa, wspieranych przez działaczy Komitetu Obrony Robotników, który powstał dziewięć miesięcy wcześniej i z którym współpracowaliśmy już od jakiegoś czasu, zorganizowała bojkot juwenaliów i serię manifestacji. Ogłosiliśmy powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, który miał działać na rzecz powołania niezależnej, apolitycznej organizacji studenckiej, a także stanowić ośrodek obywatelskiego zaangażowania studentów. Kolejne SKS powstały w innych większych miastach akademickich. W Krakowie, a także np. we Wrocławiu stały się one najważniejszymi ośrodkami przedsierpniowej opozycji, a w 1980 r. organizowały Solidarność i NZS.

Śmierć Pyjasa już we wrześniu 1977 r. została uznana za wypadek na podstawie ekspertyzy zespołu kierowanego przez prof. Zdzisława Marka. Jednak nawet ówczesne badania wykazały, że ciało zabitego nie mogło leżeć tam, gdzie zostało znalezione, gdyby spadł ze schodów. Przyjęto więc karkołomną interpretację, że przewrócił się na równym gruncie, jego obrażenia pochodzą od uderzenia twarzą o nierówności posadzki, a śmierć nastąpiła na skutek uduszenia się krwią.

To, że sprawa nie do końca została zamknięta po myśli SB i odrzucono wersję upadku ze schodów, zawdzięczamy mecenasowi Andrzejowi Rozmarynowiczowi, jednemu z bardziej znanych wówczas adwokatów Krakowa, prawnikowi kurii. Na prośbę przyjaciół Pyjasa, skierowaną do krakowskiego Kościoła, Rozmarynowicz zaproponował swoje usługi rodzinie i podjął się roli jej rzecznika. Protestował przeciw ówczesnemu orzeczeniu prokuratury i zamknięciu sprawy.

W skutek presji przyjaciół Pyjasa pytanie o przyczynę jego śmierci zostało na nowo postawione po 1990 r. Nowa

ekspertyza sporządzona w 1991 r. przez profesorów Władysława Nasilowskiego z Katowic i Andrzeja Jakilińskiego z Lublina uznała, że wszystko wskazuje na to, iż przyczyną śmierci było pobicie, a ciało najprawdopodobniej zostało podrzucone na ul. Szewską.

Ponowne śledztwo w skrajnie nieprzychylnych warunkach podjął prokurator Krzysztof Urbaniak. Choć ogromna większość dokumentów

Według Łazarewicza Stanisław Pyjas nie był nikim ważnym. Ale w meldunkach SB do Warszawy jest on definiowany jako jeden z liderów krakowskiego środowiska opozycyjnego. Jeśli był tak nieważny, to po co inwigilowało go kilku agentów?

została zniszczona i ciągle jeszcze obowiązywały klauzule tajności zarówno wobec pracowników SB, jak i ich agentów, mimo stałej obstrukcji zarówno ze strony starych funkcjonariuszy, jak i nowej władzy udało się mu zrekonstruować przekonującą hipotezę zabójstwa Pyjasa, najprawdopodobniej dokonanego przez SB albo na jej zlecenie. Udało mu się również oskarżyć ważnych pracowników tej instytucji w Krakowie o sprowadzanie śledztwa na fałszywe tory. Dwóch z nich stanęło przed sądem (w pozostałych przypadkach odstąpiono od ich ścigania z powodu wieku) i zostało skazanych prawomocnymi wyrokami na karę w zawieszeniu.

W 2010 r. dokonano ekshumacji zwłok Pyjasa i obok obrażeń zidentyfikowanych wcześniej stwierdzono również złamanie kości szyjki udowej oraz pęknięcie miednicy. Biegli uznali, że to uszkodzenia typowe dla upadku z wy-

sokości. Dlatego znowu przychylni się do wniosku o wypadnięciu z wysokości dwóch i pół piętra klatki schodowej jako o przyczynie śmierci. Z tym że nie przesądzi, czy nie uczestniczyły w tym osoby trzecie, które mogły zepchnąć Pyjasa ze schodów.

W 2021 r. IPN zakończył śledztwo w sprawie śmierci Pyjasa z powodu nie wykrycia sprawców.

Ostatnią ekspertyzę Łazarewicz traktuje jako niekwestionowaną, uznając jednocześnie, że przesądza ona o przypadkowym charakterze zgonu. Pomija wszelkie wątpliwości zgłoszone pod jej adresem choćby przez prok. Urbaniaka. To niestety metoda autora „Na Szewskiej”. Książka służy uzasadnieniu określonej tezy. Wszystko, co ją wspiera, jest eksponowane i niepoddane żadnej krytycznej analizie, wszystko, co jej przeczy, jest niezauważane albo lekceważone.

#### CZEGO NIE WYJAŚNIA OSTATNIA EKSPERTYZA

Przed wszystkim ułożenia ciała. Nie mogło ono spaść ze schodów i leżeć w miejscu, w którym zostało znalezione. To 24 maja 1977 r. po wizji lokalnej Marek napisał:

„Trzeba wykluczyć, aby upadek denata nastąpił z któregośkolwiek piętra (przez poręcz klatki schodowej) na posadzkę”.

Wyjaśnienie, że po upadku z wysokości ciało odbija się i przemieszcza na inne miejsce, jest niezgodne z prawami fizyki. Inne, któremu hołduje Łazarewicz, że Pyjas spadł, a następnie przeczołgał się na miejsce, gdzie został znaleziony, wyklucza ekspertyza z 1977 r., której nikt nie podważył. Obrażenia głowy Pyjasa dowodzą, że musiał on całkowicie utracić przytomność w momencie ich odniesienia. Ten stan rzeczy powodował, że ewentualni sprawcy musieli uznawać niedające znaku życia ciało za martwe. Przeczy to podnoszonemu wielokrotnie przez Łazarewicza argumentowi, że ci, którzy zmasakrowali Pyjasa, nie pozostawiliby go przecież przy życiu. Teza ta jest w ogóle wątpliwa, gdyż mogliby oni chcieć wyłącznie zastraszyć jego i środowisko, a to, że SB miałyby się

obawiać oskarżenia o pobicie, może formułować wyłącznie człowiek, który nie znał tamtych czasów albo świadomie je mistyfikuje. W tym konkretnym przypadku nie ma to jednak znaczenia, gdyż Pyjas nie dawał oznak życia i ewentualni sprawcy byli przekonani o jego śmierci.

Dodatkowo na w klatce schodowej nie ma śladów krwi, które tego typu przedśmiertne przemieszczenie się Pyjasa musiałyby zostawić.

Notabene Łazarewicz uznaje zgodnie z ekspertyzami z 1977 r., że możliwe jest, iż brak śladów krwi jest spowodowany wsiąknięciem jej w podkoszulek i zarost Pyjasa. Równocześnie za dowód, który przekreśla wersję o podrzuceniu jego ciała do bramy, uznaje... brak śladów krwi na posadzce. Jak widać, te same dowody interpretuje radykalnie odmiennie zależnie od tego, co miałyby być ich efektem.

Eksperci zakładający upadek w klatce schodowej nie potrafią wyjaśnić wielu obrażeń na ciele Pyjasa oraz otarć na jego ubraniu, które nie mogły być efektem upadku. Zakładają więc, że powstały one na skutek zderzeń spadającego ciała ze ścianą i poręczami schodów. Przeczy temu bardzo dokładne badanie zarówno schodów, jak i ściany w 1977 r., które nie doprowadziło do znalezienia śladów takich otarć. Śledczym w 1977 r. bardzo na tym zależało, gdyż takie pozostałości uprawdopodobniałyby wersję wypadku.

Dodatkową przyczyną wątpliwości wobec wersji ekspertów z Wrocławia są znaki na ciele Pyjasa: pod pachą i na ramieniu, które powstały przed jego śmiercią. Nie potrafili ich wyjaśnić. Urbaniak wskazywał, że są charakterystyczne dla obezwładniania i prowadzenia siłą człowieka.

Kluczowym argumentem jest brak odcisków palców Pyjasa w klatce schodowej. Eksperci z Wrocławia zakładają, że upojony do nieprzytomności Pyjas wspina się na wysokość dwa i pół piętra i wylatuje przez barierki. Jest noc. Stroma klatka schodowa jest zupełnie ciemna: zepsuto oświetlenie, inne światło tam nie dochodziło. Każdy trzeźwy człowiek, wchodząc po scho-

dach na Szewskiej, trzymał się poręczy albo ściany. Zgodnie z wersją biegłych nieprzytomnie pijany wbiega, nie dotykając ani ściany, ani poręczy i potem spada, nadal nie dotykając niczego.

Jedną z kluczowych przesłanek wskazującą udział osób trzecich w śmierci Pyjasa jest wytarcie śladów palców na poręczy, ścianie i w całej klatce schodowej. Zostało tam jedynie kilka odcisków zatartych tak, by nie można ich było zidentyfikować, ale nie wystarczająco dokładnie, by zniknęły. Jedyne wyraźny odcisk należy do Mieczysława Czubaka, który mieszkał na Szewskiej 7 i tego dnia

**Dodatkową przyczyną wątpliwości wobec wersji ekspertów z Wrocławia są znaki na ciele Pyjasa: pod pachą i na ramieniu, które powstały przed jego śmiercią. Nie potrafili ich wyjaśnić. Urbaniak wskazywał, że są charakterystyczne dla obezwładniania i prowadzenia siłą człowieka**

wyszedł bardzo wcześnie. Poprzednie zostały wytarte.

Łazarewicz twierdzi, że nie znaleziono ich dlatego, iż milicja wzięła się niechlujnie do roboty, a kiedy dowiedziała się, że ma działać intensywnie – tego samego dnia, parę godzin później – odciski zostały już zatarte. To niepoważne tłumaczenie jednoznacznie odsłania intencje Łazarewicza. Za wszelką cenę usiłuje on wymyślić wersję, która broniłaby interpretacji nieszczęśliwego wypadku, nawet jeśli przeczy jej zdrowy rozsądek.

Odciski palców nie anihilują się po kilku godzinach. Ktoś musiał je świadomie wytrzeć: większość definitywnie, niektóre częściowo, ale wystarczająco, by uniemożliwić identyfikację.

Człowiek, który spada, zawsze krzyczy – nikt nie słyszał tam krzyku ani uderzenia ciała o posadkę. A uderzenie musiałyby być głośne, klatka jest mocno akustyczna, a kilku jej mieszkańców nie spało. Jedna z mieszkanek słyszała o tej właśnie porze, ok. drugiej w nocy, odgłos „jakby osypującego się tynku”, co prokurator Urbaniak zestawiał z dźwiękiem, który mogło wydać ciało położone na posadzce.

Nie wiadomo, dlaczego eksperci z Wrocławia nie wzięli pod uwagę jego wersji, która przekonująco zestawia oraz tłumaczy wszystkie okoliczności.

Urbaniak założył, że sprawcy usiłowali upozorować upadek Pyjasa w sieni kamienicy przy ul. Szewskiej 7 po uprzednim pobiciu go w piwnicy tej posesji. Wchodzi się do niej z podwórka, na które wahadłowe drzwi znajdowały się dwa metry od miejsca znalezienia ciała Pyjasa. W głąb piwnicy prowadziły strome, wysokie, kamienne schody. Upadek z nich mógłby spowodować te same obrażenia, które zdaniem ekspertów z Wrocławia spowodował upadek na klatce schodowej. W piwnicy bardzo głośno pracował generator uniemożliwiający usłyszenie przez osoby postronne dobiegających stamtąd krzyków czy innych dźwięków.

Na rzecz tej hipotezy świadczy relacja dawnej właścicielki kawiarni Kropka, która znajdowała się na Szewskiej 7. Piwnica należała do kobiety. Generator służył mrożeniu lodów. Właścicielka zeznała już w latach 90., że pracownica opowiedziała jej o znalezieniu okularów w tej piwnicy. Właścicielka obawiała się poruszać sprawę. Nie wiemy, czy po prostu bała się SB jak wszyscy w tamtym czasie, czy była straszona. W każdym razie bardzo szybko po śmierci Pyjasa dostała zgodę na przeniesienie swojej działalności gdzie indziej, o co bezskutecznie zabiegala długi czas.

Pyjas potrzebował okularów do pisanie i czytania, a więc swojej podstawowej aktywności. Ponieważ złamały mu się parę dni przed śmiercią, skleił je plastrem i zawsze nosił w kieszonce bluzy jako niezbędną rzecz. Nie zna-

leżono ich przy jego zwłokach. Nad tymi okolicznościami Łazarewicz się nie pochyła.

Nie pochyła się również nad świadectwem Czubaka, który zeznał, że ktoś „bardzo dyskretnie” starał się otworzyć drzwi jego mieszkania ok. godz. 1.50, a więc w czasie, kiedy według opinii biegłych z Wrocławia Pyjas miał już nie żyć, po czym zorientowawszy się, że drzwi są zamknięte na łańcuch, delikatnie je domknął. Wcześniej rano Czubak znalazł obok swoich drzwi chlebak Pyjasa. Jeżeli by pokrzywdzony miał wypaść przez barierkę, dlaczego chlebak leżałby w miejscu od niej oddalonym? Dlaczego ktoś późno w nocy w niemal idealnej ciemności usiłuje dostać się do mieszkania Czubaka? Ktoś absolutnie trzeźwy, o czym świadczy jego zachowanie. Łazarewicz się tym nie zajmuje, ale pewnie uznałby to za jeden ze zbiegów okoliczności, które w jego wersji przyrastają w trybie geometrycznym. Ich nawarstwieniem się wyjaśnia m.in. śmierć Stanisława Pietraszki.

## DRUGA ŚMIERĆ

Ten kolega Pyjasa zeznał, że widział go pod akademikiem Żaczek, w którym obaj mieszkali, ok. 17.30 w dniu jego śmierci. Widział także kogoś, kto wyglądał, jakby śledził Pyjasa. Na podstawie relacji Pietraszki został sporządzony portret pamięciowy owego człowieka.

Dwa miesiące później na zaproszenie świeżo poznanej dziewczyny Pietraszko jedzie nad Zalew Soliński. Nie zastaje jej, nocuje na ławce i wtedy zostaje mu ukradziony dowód osobisty, co zgłasza na milicji. Rozmarynowicz uznawał, że była to metoda identyfikacji Pietraszki. Bezpośrednio potem zostaje on znaleziony martwy w zalewie w czepku i kąpielówkach. Pietraszko nie umiał pływać i miał alergiczny wodowstręt. Powodowało to naturalne podejrzenia co do tego, że jego śmierć nie miała charakteru naturalnego i była związana ze śmiercią Pyjasa. Co na to

Łazarewicz? Czytelnicy mogli już odgadnąć. To seria zbiegów okoliczności.

Pierwotnie sądzono, że to Pietraszko ostatni widział Pyjasa. Łazarewicz odnajduje świadków, którzy pili z nim piwo później. Ogłasza, że podważa to znaczenie świadectwa Pietraszki. Dlaczego? Przecież wartość tego zeznania nie polega na czasie, w którym świadek widział Pyjasa, ale na identyfikacji kogoś, kto prawdopodobnie go śledził na kilka godzin przed śmiercią. Łazarewicz wyciąga więc kolejny argument, który ma podobno dezawuować swia-

We wrześniu 1977 r. w knajpie Pod Filarkami agent MO, były bokser Marian Węclewicz, spotyka się z byłym funkcjonariuszem UB Tadeuszem Sową. Ten jest konfidentem SB, ale Węclewicz o tym nie wie. Wpijają po pięćdziesiątce, bo nie mają na więcej. Węclewicz idzie po pieniądze do Jana Knapika, który – jak mówi – jest mu je winien za pobicie Pyjasa. Sowa informuje o tym SB, ale jej naczelnik Jan Bill twierdzi, że była to konfabulacja, a Łazarewicz... naturalnie mu wierzy

dectwo Pietraszki. Na milicję zgłosił się mieszkaniec Żaczka podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego, by oświadczyć, że to nie on. Zdaniem Łazarewicza ma to kluczowe znaczenie. Czy fakt, że ktoś podobny do portretu pamięciowego nie jest osobą, o którą chodzi, podważa zeznania, na podsta-

wie których podobizna została sporządzona? Czy portret pamięciowy jest wiarygodny tylko wtedy, gdy do nikogo nie jest podobny? Przecież to nonsens.

Ale podobno Pietraszko naprawdę nie byłby w stanie rozpoznać osoby, którą identyfikował jako śledzącą Pyjasa. Skąd Łazarewicz to wie? Od PRL-owskich prokuratorów. Twierdzą, że te zeznania nie odpowiadają prawdzie.

Pozostają jednak dziwne okoliczności śmierci Pietraszki. Łazarewicz ma na wszystko precyzyjną odpowiedź. Skąd?

Od świadka, którego odnalazł po 45 latach.

Wersja, że Pietraszko uległ wypadkowi i sam się utopił, w „Na Szewskiej” jest oparta na jednym świadku, chociaż zwykły czytelnik raczej tego nie zauważy. Świadek objawił się Łazarewiczowi 45 lat po śmierci Pietraszki, deklaruje się jako jego przyjaciel, zna i pamięta wszystkie okoliczności. Tylko o jednym Łazarewicz nie pisze – jak to się dzieje, że przez 45 lat świadek, podobno przyjaciel Pietraszki, milczał i po raz pierwszy o wszystkim mówi jemu, prawie pół wieku później. Przez 45 lat, gdy publicznie były podnoszone wszelkie kontrowersje związane ze śmiercią Pietraszki, nie zabierał głosu. Po czym, kiedy Łazarewicz wydobywa go jak królika z kapelusza, wszystko wie i pamięta.

Mówi np., że Pietraszko zawsze chodził się myć w czepku, żeby chronić włosy. Podobno wszyscy w akademiku o tym wiedzieli. Dlaczego nikt o tym wcześniej nie mówił, kiedy zastanawiano się nad tym, że znaleziono go w czepku? Po przeczytaniu książki Łazarewicza rozmawiałem z osobami, które znały Pietraszkę – nic nie wiedziały o tym jego podobno powszechnie znanym obyczaju. Można założyć, że 45 lat upłynęło i zapomniano, a tylko ten świadek to pamięta, ale dlaczego przez tyle lat nic o tym nie mówił?

Ja byłem – mówi ten świadek, który nie istniał przez 45 lat – w pierwszej ekipie, która weszła do pokoju Pietraszki zapieczetowanego w domu akademickim i od razu znalazłem jego dowód

osobisty. Dowód, który został ukradziony Pietraszce, kiedy ten nocował na ławce nad Soliną. Ukradziono mu wyłącznie dokument. Odkryty przez Łazarewicza świadek twierdzi, że skoro dowód znalazł się w akademiku, to znaczy, że Pietraszko go zapomniał, a ponieważ nie chciało mu się go szukać, poszedł zameldować na milicję o jego zagubieniu. Dla znających PRL brzmi to nieprawdopodobnie. Oszukiwanie milicji było wtedy poważną i ryzykowną sprawą, a Pietraszko nie miał w sobie nic z desperata. Clou znajduje się jednak potem. No bo przecież – mówi ów wszystkowiedzący świadek – jeżeli naprawdę bezpieka ukradła dowód Pietraszce, to musiałaby włamywać się do zaplombowanego pokoju, żeby go podrzucić. Dzisiejszy czytelnik może potraktować to poważnie, ale ktoś, kto zna PRL... Wynika z tego, że milicja i esbecja były niezależnymi instytucjami, i jeśli MO zaplombowała pokój, to SB musiałaby się do niego włamywać, by coś podrzucić. Nie będę tłumaczył absurdu tej interpretacji. MO we wszystkim musiała słuchać SB. Najej polecenie dowolną liczbę razy plombowałały i odplombowywała pomieszczenie. Najprawdopodobniej zresztą dowód został tam zostawiony w momencie pieczętowania pokoju, po śmierci Pietraszki. Jeśli w ogóle się tam znajdował, a wszystkowiedzący świadek go widział.

Podsumujmy: całą sprawę Pietraszki relacjonuje Łazarewiczowi jeden świadek, który milczał przez 45 lat, mimo że w sferze publicznej wątpliwości na ten temat były bez przerwy eksponowane, a ten zapomina go zapytać: dlaczego mówi o tym dopiero teraz. Jednak jego relację traktuje jako dowód. Jeśli świadek jest dla niego wygodny, pomija wszystkie wątpliwości, broń Panie Boże ich nie draży ani nie zadaje na ten temat niewygodnych pytań. Odwrotnie jest ze świadkami niepotwierdzającymi jego wersji.

### **PRL JAKO PAŃSTWO PRAWA**

Z książki Łazarewicza wynika, że była nim bardziej niż III RP. Zeznania ubeków i ich agentów, prokuratorów i ich biegłych są traktowane przez Łazare-

wicza jako niepodważalne świadectwo. PRL-owscy prokuratorzy pod wodzą Henryka Solgi starali się, jak mogli, by ustalić okoliczności śmierci Pyjasa – twierdzi Łazarewicz. A skoro ich uczciwe śledztwo wykazało, że był to wypadek, trzeba przyjąć to do wiadomości.

Sę w tym, że każdy, kto wtedy żył, doskonale wiedział, że nie było żadnej niezależnej prokuratury w PRL. Stanowiła ona element tego samego układu co SB i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Szczególnie my, obserwując śledztwo w sprawie śmierci Pyjasa. Jeśli

**Książka służy uzasadnieniu określonej tezy. Wszystko, co ją wspiera, jest eksponowane i niepoddane żadnej krytycznej analizie, wszystko, co jej przeczy, jest niezauważane albo lekceważone**

prokuratorzy chcieli się od nas czegoś dowiedzieć, to z pewnością nie jego realnych okoliczności. Robili wszystko, byśmy potwierdzili, że to był wypadek. Próbowali nas zastraszyć. Wmawiali alkoholizm i narkomanię Pyjasa. Nikt z nas wtedy nie miał do nich żadnego zaufania.

Główny prokurator Solga po śmierci Pyjasa wypytywał mnie głównie o to, z kim się spotykam i o czym rozmawiam. Kiedy odmówiłem odpowiedzi i poprosiłem, by wyjaśnił, jaki związek ze sprawą mają te pytania, podsunął mi zaciśniętą pięść pod nos i wrzasnął: „My się z wami rozprawimy! Z wami wszystkimi się rozprawimy!”

I na podstawie świadectw tych „bezzstronnych” prokuratorów Łazarewicz twierdzi, że Pietraszko nie potrafiłby rozpoznać osobnika, którego widział za Pyjase.

Rozmarynowicz powtarzał, że Pietraszko jest pewny, że może rozpoznać

tego człowieka. Adwokat mówił mi to osobiście wielokrotnie i powtarzał w latach 90. Być może powodowany strachem Pietraszko powiedział prokuratorom co innego. Być może wymusili to na nim. W każdym razie Pietraszko bardzo się bał. Rozmarynowicz miał wyrzuty sumienia, bo był pewien, że wiedza Pietraszki na temat człowieka, który śledził Staszka, spowodowała jego śmierć.

Łazarewicz przyjmuje świadectwa funkcjonariuszy PRL za prawdziwe, a więc wychodzi mu ich wersja. Stwierdza np., że w dzień śmierci Pyjas nie był śledzony. Wyłącznie na podstawie relacji esbeków. Tych samych, którzy w latach 70. zeznawali, że Pyjas w ogóle nie był obiektem zainteresowania SB.

Dokumenty z tamtego czasu zostały dokładnie zniszczone. Zachowało się wyłącznie to, co z powodu biurokratycznej manii komunistycznego systemu, który reprodukował bez końca dokumenty, przechowało się w innych zbiorach związanych z innymi sprawami. Łazarewicz pisze, że na zlecenie centrali SB zaczęła rozpaczliwie szukać danych o tym, co działo się z Pyjase w dniu jego śmierci, i znalazła jeden dokument: relację agenta, który zobaczył Pyjasa Pod Blachą.

Oczywiście przypadkowo. A może przypadkowo zachowała się ta relacja?

Z kolei w IPN znajduje się inna relacja z inwigilacji Pyjasa niedługo przed jego śmiercią. Agenci opisują precyzyjnie i bez wyjątku wszystkie jego posunięcia, posiłek, który zjada, czas, który spędza w każdym miejscu, nawet na przystanku czekając na tramwaj.

Jeśli inwigilacja Pyjasa niedługo przed śmiercią była tak dokładna, to dlaczego nagle została zdjęta? Zdrowy rozsądek wskazuje, że nic takiego nie nastąpiło i trwała ona cały czas, a ponieważ dokumenty zostały zniszczone, to znalezienie wspomnianego opisu wskazuje jej metodę. Jeśli Pyjas był tak nieważny, to po co jednego dnia, w którym nic specjalnego się nie działo, tak dokładnie był inwigilowany przez kilku agentów?

Do tego, kim był Pyjas dla SB, jeszcze wróć. Teraz opiszę kolejną śmierć związaną ze sprawą.

## EKSPLOZJA PRZYPADKÓW

We wrześniu 1977 r. w knajpie Pod Firlarkami agent MO (milicja „wypożyczala” ich na żądanie SB), były bokser Marian Węciewicz spotyka się z byłym funkcjonariuszem UB Tadeuszem Sową. Ten jest konfidentem SB, ale Węciewicz o tym nie wie. Wypijają po pięćdziesiątce, bo nie mają na więcej. Węciewicz idzie po pieniądze do Jana Knapika, który – jak mówi – jest mu je winien za pobicie Pyjasa. Węciewicz dokładnie opisuje to Sowie, który nie zna Knapika. Ten przyjmuje nieproszonego gościa, poi wódką, a kiedy się ona kończy, wychodzi w towarzystwie gościa, by nabyć kolejną porcję. To, co działo się u Knapika, wiemy z zeznań jego i jego żony. Bezpośrednio po wyjściu Węciewicz spada ze schodów i ginie na miejscu. Sprawa zostaje uznana za wypadek i natychmiastowo umorzona. Jednak Knapikowa w latach 90. zeznaje, że jej mąż bezpośrednio po śmierci Węciewicza wraca do mieszkania i zakazuje jej o spotkaniu opowiadać, po czym ucieka wraz z nią z mieszkania. Ukrywa ją i siebie. Zostaje znaleziony na melinie.

Sowa przekazuje do SB informację o rozmowie z Węciewiczem, ale z tym dokumentem nic dalej się nie dzieje. To zresztą jeden z dowodów mactw SB, na podstawie których jej dwaj funkcjonariusze zostali skazani. Naczelnik SB Jan Bill twierdzi, że to była konfabulacja, a Łazarewicz... naturalnie mu wierzy. Nie docieka, dlaczego zapłacono za nią Sowie 5 tys. zł, co stanowiło ekwiwalent bardzo dobrej miesięcznej pensji.

Do SB zgłasza się podobno zupełnie niezrównoważony człowiek, którego nikt nie traktuje poważnie, żąda za swoje absurdalne konfabulacje 10 tys. zł, a funkcjonariusze SB... obiecują mu je, z tym że na początku wpłacają połowę.

W informacji Sowa przekazuje prawdziwe dane Knapika, którego nie znał, a dowiedział się o nich od Węciewicza. Knapik był pracownikiem francuskiego konsulatu w Krakowie i dużo wskazuje, że też agentem wywiadu PRL. Papiery na jego temat zostały dokładnie zniszczone. Tymi sprawami Łazarewicz się nie zajmuje. Żeby podważyć relację Sowy, zbiera dane, które

mogłyby uprawdopodobnić jego niestabilność mentalną. Właściwie bezkrytycznie powtarza wersję SB, mimo że nie wygląda ona poważnie.

Argumentem przeciw uczestnictwu Węciewicza w zabójstwie Pyjasa ma być to, że boksował w lepszych wagach, a więc nie cechował się potężną posturą, a w ogóle był już zniszczony przez alkohol. Tyle że Węciewicz nie mówił, że Pyjasa pobił samotnie.

## KIM BYŁ STANISŁAW PYJAS

Według Łazarewicza nikim ważnym. Tym bardziej ma to odbierać uzasadnienie ataku na niego. Łazarewicz wie to z relacji esbeków. Szokujący, choć specyficznie ukryty w książce, jest fakt, że opiera się prawie wyłącznie na ich zeznaniach głównie w III RP, a nie bierze pod uwagę dokumentów sporządzonych przez nich i ich agentów w trakcie, kiedy sprawa była rozpatrywana. Odnotowuje je w książce, by przejść nad nimi do porządku dziennego. Dotyczy to np. meldunku konfidenta Jarosława Reszczyńskiego, który został wprowadzony do naszej grupy, by ją rozpracować na początku 1976 r. W jego raporcie Pyjas jest wymieniony jako jeden z dwóch mózgow grup. W meldunkach SB do Warszawy jest on definiowany jako jeden z liderów krakowskiego środowiska opozycyjnego. Ale tego Łazarewicz nie bierze pod uwagę, bo pytani przez niego esbecy powiedzieli mu, że Pyjas nie był nikim ważnym. Wywody Łazarewicza wielokrotnie przebiegają w poprzek cytowanych przez niego dokumentów, ale ponieważ tych ostatnich jest dość dużo, zwyczajny, czyli niespecjalnie uważny, czytelnik nie będzie zajmował się wychwytywaniem niekonsekwencji, ale przyjmie, że wnioski autora wypływają z zebranych przez niego świadectw. A tak nie jest.

Pyjas chciał wycofać się z działalności politycznej – stwierdza Łazarewicz. Uważny czytelnik zorientuje się, że na potwierdzenie tej mocno sformułowanej przez autora tezy ma on jedno świadectwo, agenta SB Lesława Maleszki. Zaiste, niezwykle wiarygodna to relacja. Z tym że w książce błyskawicznie zmienia się ona po prostu w fakt. I znowu zwykły czytelnik nie musi za-

uważyć, jak bardzo nikle jest jego uzasadnienie. Nikomu innemu Pyjas tego nie mówił. Również mnie, który byłem wtedy jego najbliższym przyjacielem, zdecydowanie bliższym niż Maleszka. No, ale czytelnik książki będzie miał na ten temat inne zdanie. To, że Pyjas mógł mieć chwile zwątpienia w sens ówczesnego działania jak każdy z nas, to jedna sprawa, ale to, że chciał się wycofać, to już konfabulacja.

O tym, że Łazarewicz nie bierze pod uwagę tego, co sam pisze, zwłaszcza jeśli klóci się to z relacjami jego najbardziej wiarygodnych świadków, czyli funkcjonariuszy i agentów SB, i jeśli przeczy to hipotezie wypadku, uważny czytelnik jest w stanie wychwycić stosunkowo łatwo. Oto – pisze on – że SB zajęła się naszą grupą jesienią 1976 r., gdy nieco wcześniej opisuje wymierzoną w nas prowokację: wprowadzenie do naszej grupy agenta (Reszczyńskiego), który przedstawia nam możliwość stworzenia i redagowania artystycznego pisma. Działo się to na początku 1976 r. W kwietniu byliśmy przesłuchiwani, a ja pierwszy raz zatrzymany na 48 godzin.

Łazarewicz eksponuje, usiłuje znaleźć albo wymyśla to, co mogłoby minimalizować naszą rolę.

Istotnym elementem demitologizacji śmierci Pyjasa jest powtarzana wielokrotnie przez Łazarewicza konstatacja, że to, co ja, moja narzeczona i Nowaczek wzięliśmy za ślady pobicia, było efektem sekcji, a nasza interpretacja była efektem ignorancji. Ciekawe, że to samo usiłowali nam wmówić PRL-owscy prokuratorzy, ale bardziej publicznie ze względu na obecność Rozmarnowicza stanowisko to nie było podtrzymywane. Co więcej, sam Łazarewicz przytacza w książce wypowiedzi fińskich specjalistów, których Jarmo Jääskeläinen pytał o przyczyny śmierci Pyjasa, pokazując im zdjęcia jego zwłok. Jarmo Jääskeläinen był fińskim dziennikarzem, znanym dokumentalistą, który przebywał wtedy w Polsce i w 1977 r. zrobił dokument roku „Śmierć studenta” o Pyjasie. Pisze Łazarewicz: „Jääskeläinen przemycił je [zdjęcia Pyjasa] do Finlandii i pokazał dwóm fińskim medykom sądowym, którzy niezależnie od siebie orzekli, że takie obrażenia nie mogły



powstać przy upadku i jedynym ich wytłumaczeniem jest pobicie. Ich zdaniem chłopaka ktoś trzymał za włosy i uderzał jego głową o ścianę”.

W 1991 r. przeprowadzono nową ekspertyzę, której dokonali bardzo znani specjaliści: profesorowie Nasiłowski i Jakiliński. Uznali oni, że śmierć nastąpiła najprawdopodobniej na skutek pobicia. W takich sprawach nigdy nie formułuje się jednoznacznej odpowiedzi, bo jest ona niemożliwa. Pozostaje stopień prawdopodobieństwa. Wszystko wskazywało, że Pyjas zginął na skutek pobicia.

Czyli według Łazarewicza ja z powodu swojej ignorancji podtrzymywałem wersję, którą niezależnie uznawali za najbardziej prawdopodobną eksperci z dwóch krajów. Z tym że w moim przypadku – co wielokrotnie podkreśla – nie można jej traktować poważnie.

### **KIM BYLIŚMY**

Im bardziej zagłębiamy się w „Na Szewskiej”, tym bardziej musimy odnosić wrażenie, że nie tylko Pyjas nie był ważny, ale całe jego środowisko z nim na czele, to w gruncie rzeczy alkoholicy, drugorzędna artystyczna bohema, którą SB zainteresowało się z braku innych zajęć. Jak się stało, że ci nieudacznicy w ówczesnych warunkach byli w stanie współorganizować główny ośrodek opozycyjny w Krakowie, tego Łazarewicz nie tłumaczy.

Kim byliśmy: Staszek, ja, niestety Maleszka, inni z naszej grupy? Owszem, byliśmy naiwni politycznie, co szybko nadrabialiśmy w opozycji, ale zdecydowanie nie byliśmy idiotami, a jako takich przedstawia nas Łazarewicz. Przytaczany przez niego – nie wiem, za kim – „płacz po Baaderze”, to

groteskowy nonsens. Z jego opowieści wynika, że czytaliśmy wyłącznie „Grę w klasy”, no jeszcze Wojaczka, bo był poetą przeklętym.

Może zamiast protestować, przytoczę lektury, które omawialiśmy przez kilka ostatnich miesięcy do śmierci Pyjasa i które jeszcze jestem w stanie wyluskać z pamięci. A więc nie tylko Wojaczek (skądinąd świetny poeta), lecz także Herbert, Eliot, Rilke, Dylan Thomas. Nie tylko Cortázar, lecz także Dostojewski, Kafka, Mann, a z tekstów teoretycznych: Nietzsche, Husserl, Wittgenstein, Eliade, Levi-Strauss, Bachtin, semiotycy z Tartu. Mógłbym wymieniać więcej, bo pochłaniałbym żarłocznie słowo pisane i spieraliśmy się o nie, ale chyba nie ma potrzeby. Rozumiem, że Łazarewicz nie ma do mnie zaufania, ale może to potwierdzić u Maleszki.



Nie zastanawia się nad tym, jak skończony alkoholik taki jak Pyjas studiował dwa fakultety, dostawał nagrody rektorskie i był jednym z najlepszych studentów. Nie zastanawia się, bo jak zawsze znajduje właściwego świadka. Jest nim tym razem Adam Jastrzębski, który rzeczywiście później działał w SKS, ale wcześniej słabo go znaliśmy, a z Pyjasem miał sporadyczne kontakty.

Nie przeskadza mu to obficie opowiadać o jego degeneracji i alkoholizmie. Dlaczego Łazarewicz eksponuje relacje kogoś, kto tak mało miał do czynienia z Pyjasem i nie zestawia ich z wypowiedziami tych, którzy znali go lepiej? Odpowiedź jest chyba oczywista. Trzeba docenić umiejętność znajdowania świadków, którzy zawsze potwierdzą wcześniej założoną interpretację i dbałość o to, by żadni inni nie zepsuli w ten sposób uzyskanego efektu.

Jastrzębski mówi jeszcze, że nigdy nie wierzył w zabójstwo Pyjasa. Znowu trzeba docenić sztukę Łazarewicza. Nie pyta Jastrzębskiego, dlaczego przez blisko pół wieku nie podzielił się z nami swoimi wątpliwościami.

Przy okazji pozwolę sobie więc również na swoje wątpliwości. Jastrzębski jest przykładem gorączki politycznej, która w naszym kraju trawi dziś wszystko. Zażarty KOD-owiec zaczyna interpretować również przeszłość w duchu obecnej walki. Trzeba uderzyć w „godnościowe podstawy PiS”, a więc zakwestionować powagę walki z komunizmem i jego zło.

Oto przykład. W „Na Szewskiej” Seweryn Blumsztajn wręcz twierdzi, że Jacek Kuroń instrumentalnie wykorzystał śmierć Pyjasa, by stała się ona amunicją w walce z systemem PRL. Dlaczego nie protestował przeciw temu, Blumsztajn nie tłumaczy, a Łazarewicz nie pyta.

Jeśli to, co mówi, miało być prawdą, kolejnym krokiem powinna być demitologizacja Kurońa i w ogóle podważenie jego wizerunku. Instrumentalne wykorzystanie czyjejś śmierci w politycznej grze jest sprawą kompromitującą.

Oczywiście ani Blumsztajn, ani Łazarewicz do tego się nie posuwają. To typowy przykład braku konsekwencji obecnych demitologizatorów. Nie uderza się w swoich idoli. „Gazeta Wyborcza” jest centrum wojny kulturowo-politycznej, jednym z głównych uczestników walki z prawicą rządzącą w Polsce. Jednocześnie cały jej prestiż ma pochodzić z tego, że jej twórcy dzielnie opierali się komunizmowi. Jeśli była ona niespecjalnie opresyjna, a różniła się od opozycji tylko tym, że jej przedstawicieli

**Zeznania ubeków i ich agentów, prokuratorów i ich biegłych są traktowane przez Łazarewicza jako niepodważalne świadectwo. PRL-owscy prokuratorzy pod wodzą Henryka Solgi starali się, jak mogli, by ustalić okoliczności śmierci Pyjasa – twierdzi Łazarewicz. A skoro ich uczciwe śledztwo wykazało, że był to wypadek, trzeba przyjąć to do wiadomości**

cieli w inny sposób działali na rzecz Polski, to cóż za wielki powód do chwały? Jeśli represje komunistów były mitem, to jaką odwagą było występowanie przeciw nim?

Trzeba powtórzyć raz jeszcze – to nie siła argumentów, to argument siły. Mnogość nawet najbardziej nonsensownych wywodów powoduje, że biedny odbiorca nie orientuje się w ich niespójności i braku fundamentów. Dziś „Wyborcza” sytuuje się na czele walki o przywrócenie przywilejów SB. To zresztą wspólny postulat całej obecnej opozycji, w której nastąpiło zjednoczenie byłych komunistów i antykomu-

nistów. Ale to ci pierwsi narzucili ton. Polityczny interes ponad wszystko.

Kuroń był jednym z liderów KOR, ale nie był jedyny. Jak to się stało, że wszyscy bez oporu pogodzili się z jego manipulacją? Była tam również Aniela Steinsbergowa, znana z uczciwości legenda polskiej palestry o niezwykłym prawniczym doświadczeniu. Ona i inni znani z niezależności dali się tak wodzić za nos Kurońowi?

To wszystko nieważne. Ważna jest wojna przeciw PiS, a więc demitologizacja, bo przecież swoją historię partia Kaczyńskiego opiera na mitach.

### **APOLOGIA MARKA**

Doskonałym przykładem tego zabiegu ze strony Łazarewicza jest uczynienie z Marka nieskazitelnej postaci. Kim był ten profesor medycyny sądowej? Rozmarynowicz oburzał się na jego postępowanie i uznawał go za współnika esbeków. Tak jak my wszyscy.

Łazarewicz przytacza wypowiedź obecnego szefa ZMS, który rozwodzi się nad kryształową szlachetnością Marka i ostentacyjnie kłamie, twierdząc, że wypowiedź tegoż w audycji dla Radia Kraków została zmontowana. Otóż nie była ona w ogóle montowana, a ma znaczenie kapitalne.

Gdy objąłem stanowisko dyrektora w Polskim Radiu Kraków w 1990 r., zleciłem dwóm dziennikarkom realizację reportażu o sprawie Stanisława Pyjasa.

Zgodnie z moją rekomendacją zadzwoniły do Marka, w czasach PRL szefa Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, który nadal piastował to stanowisko. To na podstawie sporządzonej przez niego oraz innych biegłych ekspertyzy śledczy uznali, że śmierć Pyjasa była nieszczęśliwym wypadkiem – powtarzam. Tymczasem w rozmowie ze wspomnianymi dziennikarkami, nie wiedząc, że jest nagrywany, Marek trzykrotnie powtórzył, że to oczywiście, że ktoś Pyjasowi dał w mordę. W ten sposób jasno wskazał, że Staszek został pobity, równocześnie zaprzeczając w ten sposób informacjom, które



Pogrzeb Stanisława Pyjasa

zostały zawarte w wydanej przez niego ekspertyzie.

Jeśli ktoś, kogo ekspertyzy były podstawą do uznania śmierci Pyjasa za wypadek, nie posiadając żadnych nowych danych – audycja została nagrana, zanim jeszcze wrócono do sprawy, i była pierwszym tego aktem – twierdzi: „To jasne, że ktoś Pyjasowi dał w mordę” i na pytanie reporterki dwukrotnie (!) jeszcze to powtarza, to nie jest to żadna kolokwialna wątpliwość, ale mocne i świadome stanowisko. Jeśli więc Marek był przekonany, że Pyjas został pobity, to musimy spróbować to wyjaśnić. Łazarewicz zamiast tego bez komentarza cytuje kłamliwe dywagacje następcy Marka. W innych przypadkach Łazarewicz obficie interpretuje wypowiedzi,

które mu nie pasują. Wprawdzie gdzie indziej zauważa wypowiedź Marka wyemitowaną w Radiu Kraków, ale nie odwołuje się do niej, gdy świadek kwestionuje fakty. To jego metoda.

18 maja br. na łamach „Wyborczej” ukazał się list dr. Adama Grossa, byłego pracownika CM UJ w Krakowie. Przedstawia on zabójstwo Pyjasa jako nieoparty na żadnych dowodach mit, o czym dobitnie ma świadczyć ekspertyza Marka z 1977 r. Nie wspomina o jego wypowiedzi z 1990 r.

Oto puenta listu: „W tym miejscu chciałem upomnieć się o przywołanie pamięci dobrego imienia i szacunku dla śp. prof. Zdzisława Marka, ówczesnego kierownika Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, który przez kilka-

dziesiąt lat był publicznie piętnowany i poniżany przez zwolenników tezy o morderstwie. Od początku twierdził bowiem, że było inaczej nie dlatego, że był partyjny i wysługiwał się reżimowi, jak twierdzono, ale po prostu dlatego, że był specjalistą medycyny sądowej”.

Redaktorzy, którzy puszczać to bez komentarza, są świadomi, że mają do czynienia ze skrajnie stronniczą relacją, która deformuje znany również im stan rzeczy. Choćby to, że w zmieniających się okolicznościach w latach 90. Marek wycofywał się ze swojej dawnej wersji, twierząc, że nie przesądzał niczego, lecz tylko prezentował dane.

Swoją drogą apologia Marka, którą prezentuje obecny szef ZMS w Krakowie czy jego były pracownik, każe



została umorzona, a podstawą do tego była ekspertyza Marka, który wywodził, że ksiądz przeżył atak epilepsji i poparzył się sam. Sprawa wywołała wówczas wielkie oburzenie zarówno niezależnej opinii publicznej, jak i kurii krakowskiej. Marek był pokazywany jako postać wyjątkowo paskudna. Dziś o tym wszystkim zapomniano.

Nieżyjący już Jan Józef Lipski, który stanowi ikonę „Wyborczej”, w 1983 r. opublikował książkę „KOR”, w której przedstawia Marka jako usługowego esbeckiego rzeczoznawcę. Przywołuje nie tylko sprawę zabójstwa Pyjasa, lecz także śmiertelne pobicie w czerwcu 1976 r. w Radomiu Jana Brożyny. Marek robił wszystko, by odciążyć milicjantów, którzy tego dokonali

raz jeszcze zastanowić się nad ciągłością personalno-instytucjonalną między PRL a III RP. Może ona tłumaczyć ostatnią wrocławską ekspertyzę i dziwne zachowanie jej autorów.

Nieżyjący już Jan Józef Lipski, który stanowi ikonę „Wyborczej”, w 1983 r. opublikował książkę „KOR”, w której przedstawia Marka jako usługowego esbeckiego rzeczoznawcę. Przywołuje nie tylko sprawę zabójstwa Pyjasa, lecz także śmiertelne pobicie w czerwcu 1976 r. w Radomiu Jana Brożyny. Marek robił wszystko, by odciążyć milicjantów, którzy tego dokonali.

W 1985 r. został napadnięty i poparzony w swojej piwnicy ważny wówczas dla Solidarności krakowskiej kapłan, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Sprawa

Po emisji reportażu o śmierci Pyjasa wysłałem do „Wyborczej” list z pytaniem, jak można utrzymywać na stanowisku szefa Zakładu Medycyny Sądowej kogoś, kto był współnikiem morderców, tzn. zabójstwo przedstawiał jako wypadek, a tym samym uniemożliwiał pociągnięcie do odpowiedzialności jego sprawców. Udało się mi opublikować list, choć były z tym już poważne kłopoty. Nie sądzę, by miał je dziś z publikacją swojego dr Gross.

W efekcie rektor Akademii Medycznej prof. Andrzej Szczeklik, któremu podlegało ZMS, powołał komisję senacką, która zdjęła Marka ze stanowiska i odsunęła od kontaktów ze studentami. Powodem nie była nawet sprawa Pyjasa czy Isakowicza-

-Zaleskiego, ale interwencja Marka uniemożliwiająca obdukcję studentów pobitych przez ZOMO niedługo przed upadkiem komuny. Marek kazał zniszczyć dokumentację, a ofiary przepędził. Łazarewicz naturalnie wbrew świadectwom przychyła się do wersji Marka, że winny był jego podwładny. W jego sprawie to on okazuje się zawsze instancją ostateczną dla Łazarewicza. Sprawę Isakowicza-Zaleskiego wspomina tak, że żaden czytelnik nie będzie wiedział, o co chodzi. Robi, co może, by obronić dobre imię Marka.

W tym celu eksponuje sprawę sądową, którą poniekąd zmuszony przez komisję senacką Marek wytoczył mi o pomówienie. I znowu: wprawdzie Łazarewicz wspomina kwestię z mojego listu, w którym definiuję, co rozumiem przez współnictwo, ale w tekście powtarza, że skazał mnie bezstronny sąd za pomówienie Marka o współudział w morderstwie. Sprawę wydaje się pokazywać chyba tylko po to, żeby udokumentować bezpodstawny upór słusznie skazanego. Nie odnotowuje więc, że sąd odmówił wprowadzenia do listy dowodów audycji z wypowiedzią Marka, czyli koronnego argumentu, nie przytacza wypowiedzi sędziego apelacyjnego, który powiedział:

„Wolno było panu [mnie] tak na temat Marka myśleć, ale nie mówić”.

Łazarewicz odwołuje się do sprawy Grzegorza Przemyska, w której akurat Marek zachował się przyzwoicie. Mało kto jest w pełni integralny, nie znam zresztą dokładnego kontekstu tamtych wydarzeń. W niczym nie kwestionuje to nieakceptowalnego zachowania w przytoczonych przykładach. Łazarewicz napisał dobrą książkę o sprawie Przemyska. Teraz opublikował „Na Szewskiej”.

Poświęcam tyle miejsca Markowi, gdyż podejście do niego pokazuje zarówno metodę Łazarewicza, jak i klimat intelektualny jego środowiska, który doskonale widać po tym, kto przez nie jest nie tylko rehabilitowany, ale wręcz dowartościowany.

## BOHATEROWIE KSIĄŻKI ŁAZAREWICZA

Pisałem już, że Łazarewicz uznaje za wiarygodne służby PRL, a więc i ich relacje. W efekcie jego wnioski muszą być identyczne z tym, co ogłosiła prokuratura w 1977 r. Ale w szminkowaniu PRL posuwa się znacznie dalej. Szczególnym świadectwem tego jest jego stosunek do SB.

Według Łazarewicza w Krakowie były dwie frakcje tych służb. Starzy ubecy po paru klasach podstawówki, którzy pamiętali stalinizm i potrafili tylko wyrwać paznokcie, oraz młodzi inteligenci po Uniwersytecie Jagiellońskim. Czytając książkę, można odnieść wrażenie, że kwestią przypadku było to, czy ktoś zostawał opozycjonistą, czy szedł do SB.

Łazarewicz twardo deklaruje, że nowe pokolenie ubeków wierzyło w PRL. W rzeczywistości jego obraz młodych esbeków – tak jak i innych funkcjonariuszy PRL oraz całego tamtego państwa – jest głęboko fałszywy. Nikt wówczas nie wierzył w PRL. Opowieści na ten temat pojawiły się dopiero w III RP. Ci, którzy służyli komunizmowi, tłumaczyli, że jeżeli nie oni, przyszliby gorsi. Nawet wysoko postawieni w aparacie partyjnym usprawiedliwiali się, że jesteście skazani na fatalny system, musimy robić, co chce Moskwa, więc chodzi o to, by robić to możliwie łagodnie.

SB była prostą kontynuacją UB i wszyscy, a szczególnie jej funkcjonariusze, o tym pamiętali. Była to organizacja terrorystyczna, która miała zastraszyć Polaków i zmusić ich do uległości. Ci, którzy godzili się na służbę w niej, byli skrajnymi cynikami. Szli tam, bo oferowano lepsze warunki i różne możliwości, których nie mieli zwykli poddani PRL. Ci, którzy zaciągali się do SB, wiedzieli, że działają przeciwko wspólnocie. Wręcz to demonstrowali. Ci, którzy zapisywali się do partii, tłumaczyli, że w inny sposób nie mogliby zrobić nic sensownego. Ale i tak czuli potrzebę usprawiedliwienia. Do esbecji szli najgorsi, którzy niczym się nie przejmowali. Uznawali, że ich interes uzasadnia wszystko, a funkcjonowanie w SB dawało władzę.

Ci młodzi esbecy mówili niekiedy wprost, że chętnie by nas tłukli, ale chwilowo (co podkreślali) jest to zakazane. Zakaz nie był aż tak rygorystyczny, toteż zdarzało się, że potrafili kogoś z nas ciężko pobić. To przecież to samo środowisko, które wyprodukowało zabójców ks. Jerzego Popiełuszki z Grzegorzem Piotrowskim na czele, matematykiem, absolutem studiów podyplomowych, naszym rówieśnikiem.

Dla przedstawicieli pewnego typu kultury ciekawsi zawsze wydają się

Próba dowartościowania PRL, a jednocześnie umniejszania znaczenia środowiska krakowskich opozycjonistów wręcz bije z książki Łazarewicza. Nawet tak wyjątkowe wydarzenia jak bojkot juwenaliów i manifestacje, które były ewenementem w historii PRL, ogląda on przez szkło pomniejszające

przestępcy niż ich ofiary. Właściwym bohaterem „Na Szewskiej” jest Maleszka. Nie twierdzę, że nie jest to postać interesująca, ale opisy głębszych przyczyn jego agenturalnego wyboru, które Łazarewicz eksponuje, nabierają znamion usprawiedliwienia. Taka metoda pozwala uniewinnić każde zło, które zawsze ma przecież jakąś genezę. W książce najbardziej odrażające donosy Maleszki są pomijane, jego próby niszczenia tych, którzy traktowali go jak przyjaciela ledwie wzmiankowane. Kłamstwa takie, jak np. stwierdzenie Maleszki, że jego spowiedź w „Wyborczej” była w pełni prawdziwa (była inteligentnie i gruntownie zmistyfikowana), o czym Łazarewicz powinien wiedzieć,

są przyjmowane przez niego na wiarę. Jego zaufanie do konfidenta mogłoby wzruszać, gdyby nie konsekwencje, które się z tym wiążą.

W wywiadach, by dowartościować Maleszkę, potrafi powiedzieć rażąco nieprawdę. Cytuję: „On jednocześnie niezwykle skutecznie pomagał walczyć z komunizmem. Był kreatywny po obu stronach barykady. Przecież to on wpadł na pomysł, że najlepiej będzie, kiedy koledzy Pyjasa, którzy dostali anonimy szkalujące go, poszli z nimi do prokuratury. I to on zaniósł tam tę skargę”.

Ani nie był to pomysł Maleszki, ani nie uczestniczył w dostarczeniu anonimów do prokuratury. Na wszelkie możliwe sposoby usiłował blokować albo chociaż pacyfikować naszą działalność.

Próba dowartościowania PRL, a jednocześnie umniejszania znaczenia środowiska krakowskich opozycjonistów wręcz bije z książki Łazarewicza. Nawet tak wyjątkowe wydarzenia jak bojkot juwenaliów i manifestacje, które były ewenementem w historii PRL, ogląda on przez szkło pomniejszające.

W niedzielę, ostatni dzień juwenaliów, kiedy miały miejsce naprawdę duże demonstracje i zostało ogłoszone powołanie SKS, zabawa mimo wysiłków działaczy SZSP właściwie zamarła. W wersji Łazarewicza wygląda, że raczej nasze demonstracje były mało znaczącym wtargnięciem w juwenaliowy żywioł.

Wieczorem, kiedy z Szewskiej 7 ruszyła manifestacja pod Wawel, na rynku trudno było uświadczyc przebierańców. Z kolei wylot z Szewskiej na rynek zablokowała zwarta grupa esbeków głęboka na jakieś 10, jeśli nie więcej rzędów. Pierwsza grupa manifestantów przedarła się przez ten kordon, ale potem nie było już sposobu, by przejść. Zawróciliśmy więc tłum kłębiący się na Szewskiej i poszliśmy pod Wawel Plantami.

W wersji Łazarewicza to bawiący się studenci zablokowali marsz i dlatego musiał on zmienić swoją trasę. Ten obraz zasadniczo różni się od rzeczywistości.

Jak cała książka. 